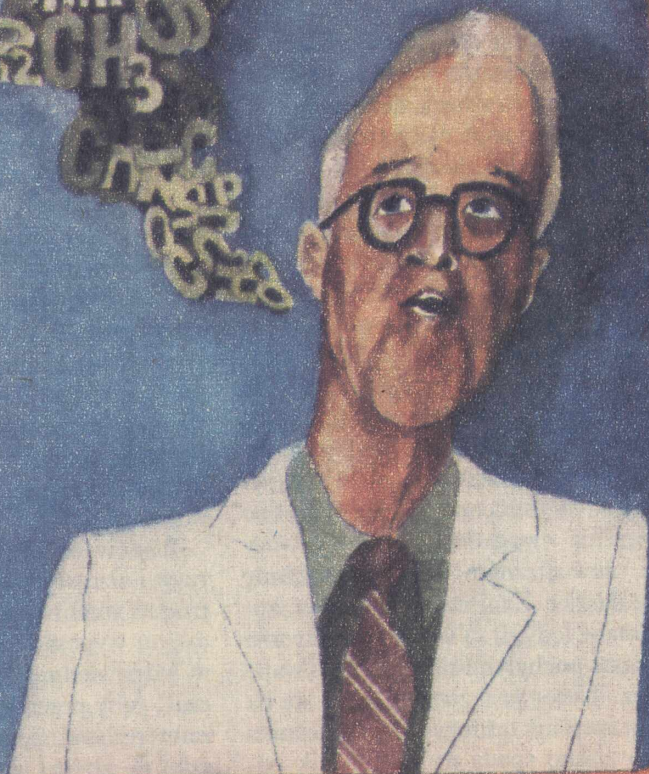


RETROSPERCA



– Zapis w obecnej formie obejmuje trzy szpule. Zmieściłby się on co prawda na dwóch, pozwoliłem sobie wszakże na dokonanie drobnego zabiegu kompozycyjnego. Naturalnie niejako rozdzielone sekwencje umieściłem na osobnych szpulach, tak by przerwy powstałe w czasie wymiany taśm pokrywały się z tokiem narracji. Myślę, że jakiegokolwiek próby analizowania lub w ogóle omówienia nie będą miały tej wartości, co same fakty. Muszę zresztą zaznaczyć, że dzięki walorom retroskopu mamy bardzo dokładne dane, które zasadniczo wykluczają element fantazji. Mówię „zasadniczo”, nie do uniknięcia bowiem są drobne dowolności interpretacyjne. Dotyczą one jednak bez wyjątku elementów drugorzędnych, nieistotnych tak dla zasadniczego obrazu, jak i dla związanych z nim koincydentalnie sytuacji marginesowych...

Korten przerwał, skłonił się w stronę audytorium i włączył urządzenie.

Zapłonął ekran.

* * *

– Profesor Lammerson już poszedł – oznajmiła dyżurna laborantka z personelu specjalnego. – Zostawił wejście do pracowni otwarte. Zabral wozem miss Gay Courtney.

Jej oczy chłodne i bez wyrazu, w twarzy sztywnej i zamkniętej jak u wszystkich z personelu specjalnego, błysnęły na moment zainteresowaniem.

„Ta dziewczyna mogłaby być nawet ładna” – pomyślał Harry, gdy za dyżurną zamknęły się drzwi pokoju. – „Ale taka praca pozbawia człowieka nie tylko uczuć. Nawet wygląd zmienia się w nieuchwytny sposób”.

Wyszedł za dyżurną. Na korytarzu zobaczył jej plecy w białym fartuchu, znikające za najbliższym zakrętem. Zastanowił się, czy nie warto byłoby pójść za nią i sprawdzić, czy nie przystanęła za rogiem poprzecznego korytarza, nasłuchując, dokąd on pójdzie. Oddalił się

nieco, zwolnił. Wokół panowała cisza przerywana echem dalekich głosów. Kremowe ściany korytarza jaśniały w blasku popołudniowego słońca, klimatyzowane powietrze było chłodne i orzeźwiające. Pracownia znajdowała się na pierwszym piętrze. Wiodły do niej szerokie schody, obiegające towarową windę. Wbiegł na nie szybko, by przemknąć pod oszklonymi ścianami nie zauważony przez strażnika. Nie chciał figurować w kolejnym raporcie, choć miał pełne prawo poruszać się po całym terenie po godzinach pracy. Na ostatnim podejściu obejrzał się. Strażnik stojący na zewnątrz budynku wpatrywał się ze znużoną miną w kierunku schodów, którymi biegł przed chwilą. Zaklął pod nosem i pchnął drzwi z napisem LABORATORIUM.

Obszerny pokój zavalony był różnego rodzaju sprzętem. Duże paczki na wpół odarte z okrywającego je papieru odstaniały lśniące białym lakierem fragmenty na razie niepotrzebnych urządzeń: połyskiwały metalowe części mechanizmów i długie szklane rurki. W głębi widać było część obszernego laboratorium. Pobieżnie zlustrował pokój Lammersona i zatrzymał się zaskoczony.

Mężczyzna siedzący za szerokim biurkiem robił wrażenie sennego, jedną ręką podpierał głowę, drugą na widok Stantona uczynił szeroki gest zaproszenia.

– Proszę, może pan wejdzie – powiódł jeszcze szerzej ręką po pokoju profesora. Na jego twarzy pojawił się uśmiech mający wyrażać serdeczność, a wyrażający ponadto pewność siebie człowieka, który w każdym miejscu czuje się u siebie.

Harry chciał zapytać, skąd ten nieznamy tu się wziął, lecz zdał sobie sprawę z absurdalności takiej reakcji. Człowiek, który przeszedł przez kordony straży i czujne oczy personelu i siedział teraz w gabinecie Lammersona jak u siebie, na pewno był tu osobą, która przybyła w konkretnym celu. W tym momencie zdał też sobie sprawę, że właśnie on może być celem tej wizyty.

– Bardzo mi miło pana poznać, panie... – rzekł wchodząc do pokoju.

– Czy często po pracy przychodzi pan tutaj? – nieznajomy jak gdyby nie usłyszał pauzy w pytaniu Harry'ego, lecz po sekundzie dodał:

– Zostałem tu oddelegowany przez pańską jednostkę nadrzędną, panie Stanton. Nazywam się Curtis. Frank Curtis.

– Widzę, że mogę oszczędzić sobie przyjemności przedstawienia się – z sarkazmem w głosie rzekł Harry, po czym siadł w fotelu naprzeciw biurka.

Curtis nie odpowiadał. Potarł dłonią czoło, jak gdyby zbierał myśli, i dopiero po chwili Harry Stanton zdał sobie sprawę, że pytanie, skierowane pod jego adresem, zostało już zadane na wstępie rozmowy.

– Lękam się, że nie zrozumiałem intencji pańskiego pytania – odezwał się. – Wielu pracowników zostaje dłużej w Ośrodku, a to – jak często, zależy od problemu, który właśnie rozwiązują. Jest to praktyka dozwolona i powszechnie stosowana.

– A czy wielu asystentów profesora spotyka pan po godzinach pracy w laboratorium?

– Czy wielu? – udawał, że się zastanawia. Krew napływała mu do twarzy. – Ostatnio zostaje tu czasami miss Courtney – powiedział niezręcznie.

– Czy mam rozumieć... – Curtis przekrzywił głowę i oparł ją na lewej ręce. Prawą położył bezwładnie na pokrytym szklaną taflą blacie biurka. Nie dokończył zdania.

Zapadło milczenie. Za oknem na parapecie usiadł gołąb i Harry przyglądał mu się z prawdziwym zainteresowaniem. Ostatnio ptaki z daleka omijały Instytut.

– Przypuszczam, że miss Courtney nie jest jedyną osobą, która towarzyszy panu w popołudniowej pracy w laboratorium – powiedział wreszcie Curtis z lekką ironią.

Nagle, nim Harry zdążył odpowiedzieć, pochylił się do przodu i rzucił:

– Doniesiono mi, że przejawia pan niezdrowe zainteresowanie papierami Lammersona. Podobno niewiele czasu spędza pan w laboratorium, ale przesiaduje pan tu, w tym pokoju, tu, za tym biurkiem – stuknął palcem w szkło.

– Nie rozumiem, dlaczego niezdrowe, jak pan to nazywa – zareagował ostro Harry. – Jestem jego asystentem i równie jak badania praktyczne interesują mnie teoretyczne założenia. Chcę mieć pewien pogląd na całość zagadnienia. – Mówiąc zastanawiał się równocześnie, od jak dawna jego praktyki wiadome są ludziom z personelu specjalnego.

– Panie Stanton – głos Curtisa zmienił się. Brzmiał teraz zdecydowanie, rozkazująco. Jego senność zniknęła bez śladu. – Nie jesteście ludźmi głupimi. Pan wie, że badania otoczone są ścisłą tajemnicą i kontrolą naszego departamentu. Wynika to z ich kluczowego znaczenia dla pewnych..., no, pewnych ważnych kół. – Zmarszczył czoło i mówił dalej: – Zainteresowanie, jakie pan przejawia, całością prac, musi budzić niepokój. Człowiek, zbyt inteligentny, by nie wiedzieć, że dokonano podziału personelu na zespoły badawcze, oddzielono ludzi od siebie w ściśle określonym celu, nagle zaczyna przetrząsać papiery, które zawierają całość opracowań. Po co pan to robi?

Harry niespodziewanie rozchmurzył się.

– Proszę mi wybaczyć – odparł – ale profesor Lammerson bynajmniej nie czyni tajemnicy ze swych badań. Wręcz przeciwnie, przy każdej okazji zachęca nas do prób kompleksowego ujmowania zagadnienia. Nie sądzę, abym postępował wbrew zaleceniom profesora.

– Zalecenia profesora nie są jedynymi zaleceniami, które pana obowiązują – powiedział akcentując wyrazy Curtis. – Pan zajmuje się fotoaktyzmem, prawda? Jeżeli pan chce się nim dalej zajmować, niech pan pamięta o naszej rozmowie. I niech pan sobie przypomni Greya – niedbale wymówił nazwisko asystenta zwolnionego przed dwoma miesiącami.

Harry zastanawiał się, czy powinien się do czegokolwiek zobowiązywać. Doznał uczucia zupełnej pustki, którą powoli wypełniać zaczęła wściekłość.

Curtis wstał i wyciągnął rękę.

– Do widzenia, panie Stanton – rzekł. – Myślę, że sporo sobie wyjaśniliśmy.

Stanton nie przyjął podanej dłoni. Odwrócił się gwałtownie i wyszedł.

* * *

– Jesteśmy zafascynowani, konstruktorze Korten – powiedział przewodniczący. – Nie kwestionujemy bynajmniej autentyczności tego, co nam pan pokazuje. Rewelacyjne badania Silstera, których teoretyczne racje są nie do obalenia, nie pozwalają nam na to. Ale mimo wszystko trudno uwierzyć... Czy byłby pan uprzejmy wyjaśnić nam chociaż ogólnie, jak działa to urządzenie?

– Zasada działania retroskopu była znana od wielu lat – odrzekł Korten. – Lecz tylko przypadkowi zawdzięczam osiągnięcie oglądanego dziś przez panów efektu. Mówiąc w ogromnym skrócie, udało mi się uzyskać wykres częstotliwości drgań magnetycznych na samym biegunie fali Silstera. Przypomnę, że Silster odkryte przez siebie fale uznał za chaos sygnałów i wysunął śmiałą teorię, że nadawane są one przez istoty rozumne. Mnie udało się otrzymać zapis pochodzący z jednego źródła. To znaczy, nie wylaniałem go z chaosu drgań. Ten zapis powstał osobno, w czasie, gdy zaprzestały emisji inne źródła sygnałów. A teraz, panowie, dalszy ciąg projekcji...

* * *

Komputer wyrzucił ostatni wzór i profesor uroczystym gestem wcisnął klawisz wyłącznika. Ekran maszyni wygasł.

Z kawalkiem kredy w ręce profesor zbliżył się do brązowej tablicy i kilkoma szybkimi ruchami dłoni wyczarował przed oczami liczonego audytorium równanie.

– Odtąd wywód jest zupełnie prosty – powiedział odkładając kredę. – Stosujemy wzór Priestleya jako punkt wyjściowy, a dochodzimy do jego zaprzeczenia w łańcuchowym ciągu reakcji, zdolnym wzrastać, jak tu widzimy – postukał palcem w tablicę – w sposób nieskończenie duży, powiedziałbym nawet, nieograniczony.

Siedzieli w milczeniu, zbyt oszołomieni, by cokolwiek powiedzieć. Gay, rozchyłając usta, wpatrywał się w profesora. Stanton nerwowo pocierał dłoń. Przez otwarte okno nie dobiegał żaden dźwięk.

Ciszę przerwał piegowaty Lindner.

– To znaczy – powiedział niskim głosem – że w niedalekiej przyszłości będziemy mogli wzbudzić łańcuchową reakcję przyhamowującą albo wręcz uniemożliwiającą fotolizę wody. Ależ to...

Lammerson ożywił się.

– Nie muszę panom mówić, jak olbrzymią wartość poznawczą mają nasze badania. Ich wartość praktyczna natomiast wydaje się znikoma... – Przerwał, bo ktoś otworzył drzwi. – Aaa, panie Curtis, witam, witam pana.

Harry poczuł ssanie w żołądku i odwrócił się. W ostatnim rzędzie krzesel sadowił się Frank Curtis, spocony, w rozpiętej marynarce.

– Wracając do wątpliwości, zasygnalizowanej pytaniem Jacka – kontynuował profesor – sądzę, że są one przedwcześnie. Pamiętam, jaką sensację wywołały badania mego szanownego kolegi, profesora Calwina. Wyrażano wtedy podobne wątpliwości, bo na tym tle opinia społeczna jest wyjątkowo uwrażliwiona. Niemniej wyizolowanie karboksylazy ribulozodwufosforanowej, jak i inne sukcesy mojego wielkiego kolegi, są, co przy całej mojej skromności muszę przyznać, zaledwie krokiem prowadzącym do odkryć, jakich dokonuje nasz zespół.

Harry znowu zerknął do tyłu. Frank Curtis wiercił się niespokojnie. Był wyraźnie podniecony.

– Tak więc, moi kochani – profesor skinął głową Jackowi i uśmiechnął się – nie pozostało mi już nic innego, jak zaprosić was na szampa.

Po sekundzie ciszy rozległy się oklaski i zaszumiały odsuwane krzesła.

– Co o tym sądzisz? – odezwał się Jack Lindner nachylając się do ucha Harrego.

– Co sądzę? – Harry mówił z roztargnieniem. Oczywiście śledził sylwetkę Curtisa, który przeciskał się przez rozgadany tłumek w stronę profesora.

– Widzisz, są dwie strony medalu – powiedział wymijająco. – Profesor odkrył nam awers.

Jack pokręcił głową, odwrócił się i podszedł do Billa Lowedaya. Wymachując ręką, zaczął coś mówić tuż przy twarzy tamtego.

Profesor otoczony był grupą najbliższych współpracowników. Była tam i Gay.

„Właściwie ja też powinienem być z nimi – pomyślał Harry. – Taki sukces!”

Niektórzy szli jednak do jadalni.

Harry poszedł tam za Lindnerem i Lowedayem, dyskutującym wciąż zawzięcie. Dotarł do niego fragment zdania wypowiedzianego z podnieceniem przez Jacka:

– ... stary mógł równie dobrze powiedzieć: – niekontrolowany. Niekontrolowany, zamiast nieograniczony, mówię ci, to właśnie miał na myśli...

„Niekontrolowany – pomyślał Harry – ileż innych, bardziej wyrazistych przymiotników można by dodać...”

Na stołach różowiły się plastry szynki, przyciągała wzrok bateria kolorowych butelek.

Po pewnym czasie nadeszli Lammerson i uczeptiony jego boku Curtis. Rozmawiali przyjacielsko.

– Oczywiście, oczywiście, dalsze dotacje są uzależnione... – dobiegł do Stantona głos Curtisa.

– Nie składam gratulacji, profesorze – rzekł Harry, zbliżając się do Curtisa i Lammersona. Curtis umilkł, choć nie wydawał się zaskoczony słowami Stantona. – Tym razem może się to skończyć gorzej niż w przypadku Calwina – ciągnął dalej Harry.

– Stara śpiewka Lindnera – zawołał Lammerson. – Nie przypuszczałem, że i ty, Stanton!

– Lubię ludzi, którzy potrafią fantazjować – Curtis czynił pozory światowca. Chciał nadać rozmowie towarzyski charakter.

– Niech pan popuści nieco wodze fantazji, Curtis. Zresztą sądzę, że nie musi pan tego robić. Doskonale pan zna stawkę tej gry – rzekł Lammerson.

Curtis wzruszył ramionami.

– Istnieje wiele poglądów na sens i cel badań naukowych. Wszystkie są do siebie w zasadzie zbliżone. Różni je najczęściej zakres pojęcia użyteczności. Nie znaczy to, że kwestionuję osobiście jakiegokolwiek badania.

Lecz niewątpliwie każda myśl, każde odkrycie musi prowadzić do czegoś. Jestem tylko za tym, by także wasze odkrycia prowadziły do czegoś.

– Doświadczenia Oppenheimera również prowadziły do czegoś.

– Tak, ale historia, wbrew przysłowiom, nieczęsto się powtarza. – Curtis osiągnął swój cel. Konwersacja przybrała charakter jałowych spekulacji.

– Chciałbym jeszcze porozmawiać z panem, profesorze – powiedział Harry.

– Skrupuły tego młodego człowieka są pozabawione podstaw... – Gdy odchodził, usłyszał wypowiedziane przez Curtisa w żartobliwym tonie słowa.

Do Harrego podeszła jakaś dziewczyna. Poszukał wzrokiem Gay. Od czasu, kiedy zaśmiała mu się w nos, gdy zaprosił ją na kolację, a następnego dnia wszyscy w Instytucie wiedzieli, że Harry dostał od niej kosza, nie próbował z nią rozmawiać. Tęsknił jednak za widokiem Gay.

– Nie poznaje mnie pan? – Pwne oczy zgrabnej osóbkki iskrzyły się od śmiechu. Uświadomił sobie nagle, że to dyżurna z personelu specjalnego, która rozmawiała z nim owego pamiętnego dnia, gdy spotkał się z Curtisem. Stłumił w sobie niechęć, ale po chwili nawet dobrze się bawił słuchając jej paplania:

– ...Wiedziałam, że pan się domyśla, że opiekowałam się panem. Harry, czy mogę ci mówić po imieniu, Harry?

– Proszę – odpowiedział.

– To bardzo ciężka praca – mówiła – ale bardzo ją lubię. Wiesz – w jej oczach zalsnił jakiś dziwny błysk – miewałam uczucie, że twój los zależy od tego, co napiszę. Bardzo lubię takie uczucie. No, ale teraz już koniec – westchnęła. – Od jutra mam urlop, a potem mnie przenoszą. Jesteś bardzo miłym chłopcem. Wypijemy? – podniosła kieliszek.

Poczuł się odprężony. Pijąc szampana zauważył Curtisa, który przeciskał się w ich stronę.

– Stary Lammerson bardzo cię lubi – Curtis pokazał zęby w uśmiechu – ale obawiam się, że będziesz musiał poszukać sobie niedługo nowej pracy, poza Ośrodkiem.

Stanton stał z pustym kieliszkiem w ręku.

– Może – odpowiedział Harry – będzie to najlepsze rozwiązanie?...

* * *

– Jak już mówiłem, retroskop wychwycił czyste, niczym nie zakłócone sygnały. Nie czuję się upoważniony do wyciągania daleko idących wniosków, pozostawiam to panom – Korten zręcznie zakładał trzecią szpulę za pomocą swych manipulacyjnych czułków.

Na sali panowało milczenie. Zgromadzeni nieruchomo wisieli w wannach napełnionych ożywczym roztworem słabego kwasu, utkwiszły receptory wzrokowe w pustym ekranie.

– Sam fakt, że przedstawiam ten zapis właśnie w waszym gronie, wynika z mojego przeświadczenia o jedynym możliwym wyjaśnieniu owych sygnałów. Myślę, że po obejrzeniu ostatniej sekwencji, wszyscy panowie w pełni podzielicie mój pogląd.

* * *

Wieczorem tego samego dnia, kiedy studenci skończyli okupować campus, wichura uczyniła największe spustoszenie w lesie, którym Harry zwykł wracać do domu. Brnął przez zasypaną złotymi liśćmi alejkę i oglądał drzewa w ich najpiękniejszej, jesiennej krasie. Minęli go: młoda, ładna dziewczyna i gestykulujący żywo chłopak.

– Mister Stanton, mister Stanton! – usłyszał naraz za plecami. Obrócił się.

Z tyłu nadbiegał młody człowiek w wyblakłych dżinsach. Stał przed Harrym i dysząc, przyglądał mu się. Niebieskie oczy patrzyły poważnie z za grubych szkieł.

– Od niedawna pracuję w prasie – rzekł wreszcie i wymienił nazwę wspaniałej, wielkonakładowej gazety. – Jestem reporterem. Przejeżdżałem tędy i dowiedziałem się, że pan tu pracuje. To pan brał udział w tym głośnym eksperymencie profesora Lammersona?!

Widząc, że Stanton nie odpowiada, chłopak zaczerwienił się i ukłonił.

– Nazywam się Lary Dugué. Urodziłem się tu, w Kanadzie – ciągnął zmieszany – ale zawsze chciałem pracować w jakiejś gazecie w Stanach. Skończyłem tutaj uniwersytet, mam tu kontakty, więc... przyjechałem do pana. To będzie mój drugi wywiad. Czy mógłby mi pan o samym eksperymencie cośkolwiek...

Dziewczyna i reporter stali przed nim na tle barwnej ściany drzew.

– Ta sprawa była głośna kiedyś – powiedział wreszcie Harry – bardzo dawno temu. Wątpię, by mogła teraz kogoś zainteresować. – Uśmiechnął się życzliwie. – W pobliżu mieszka pewien reżyser filmowy. Znam go i mogę ci ułatwić spotkanie. Jest akurat u siebie.

– Nie, chciałbym porozmawiać z panem! – powiedział z uporem chłopak.

– Cóż, chodźmy do mnie. Mieszkam niedaleko – rzekł po namyśle Stanton.

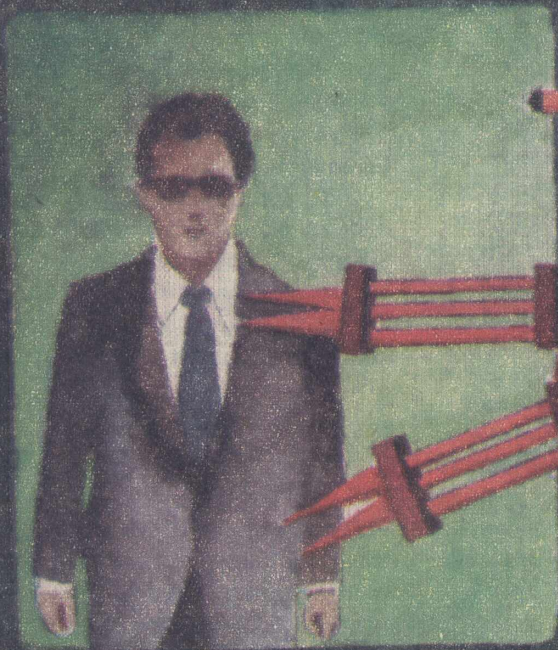
W mieszkaniu panował pedantyczny porządek. Lary Dugué rozglądał się ciekawie. Kiedy na kominku płonął już ogień i siedzieli ze szklankami w ręku w wygodnych fotelach, sięgnął po swoją reporterską torbę i wydobył z niej magnetofon.

– Najpierw niech pan opowie o eksperymencie w sposób najbardziej przystępny – mówił obracając jakąś gałkę. – Opracuję potem tekst zgodnie z pańskimi sugestiami. Chodzi o to, aby czytelnik zrozumiał wszystko i nie musiał się sam niczego domyślać.

– Sprawa jest prosta – zaczął Harry. – Cały świat ożywiony, wszystko, co żyje, co się porusza na ziemi, zależy od znanego od dawna procesu, zwanego fotosyntezą. Proces ten umożliwia syntezę związków organicznych, węglowodanów. Do syntezy tej potrzebne są woda i węgiel. Już w XVIII wieku holenderski przyrodnik Housz dowiódł, że źródłem węgla dla roślin jest dwutlenek węgla zawarty w powietrzu.

– Chwileczkę – przerwał Dugué. – To wszystko, niech się pan nie obrazi, mogę znaleźć w większości encyklopedii. Chodzi mi głównie o informacje, których tam nie można znaleźć.

Harry zastanowił się. Nie zamierzał wprowadzać reportera w gąszcz skomplikowanych



wzorów chemicznych. Zdawał sobie sprawę, że jest to bezcelowe. Z drugiej strony sam proces fotosyntezy był doskonale opisowo poznany i wiedza o nim dostępna wszystkim w wielu publikacjach. A tajemnica kryła się właśnie w owych chemicznych przekształceniach równań.

– Uczony angielski Hill – powiedział – wykazał, że wyzwalany w procesie fotosyntezy tlen pochodzi nie z dwutlenku węgla, jak sądzono, ale z wody. Ponieważ należy mniemać, że fotosynteza jest procesem szalenie złożonym, odkrycie to dało możliwość skoncentrować się na niektórych elementach tego procesu. Sądzę, iż wystarczy, jeśli powiem, że rewolucyjne znaczenie badań Lammersona polegało na wyjaśnieniu chemicznej struktury hydrolizy, czyli rozkładu wody na tlen i wo-

dór. To z kolei umożliwiło regulowanie procesu hydrolizy.

– Co pan rozumie przez regulację hydrolizy? – zapytał Dugué.

Stanton odpowiadał teraz z lekkim wahaniem:

– Można proces ten odpowiednio przyspieszać, można też odpowiednio go zwalniać. Największe niebezpieczeństwo kryje ta druga forma stymulacji hydrolizy. Lammerson odkrył, że wprowadzenie pewnych dawek środka, powodującego zahamowanie hydrolizy, może wywołać reakcję lawinową. Innymi słowy – możliwe jest, przynajmniej w teorii, zwolnienie lub zahamowanie hydrolizy całej flory ziemskiej, co pociągnęłoby za sobą oczywiście wiadome skutki.

– Twierdzi pan więc, że taka możliwość, że

niebezpieczeństwo zastosowania wzorów Lammersona istnieje?

– Każda teoria, prędzej czy później, jest sprawdzalna w praktyce – odparł Harry.

Rozmawiali jeszcze blisko godzinę.

– Podobnych wywiadów udzieliłem już kilka – powiedział na koniec Stanton – i żaden z nich nie ukazał się w prasie.

– Wiem o tym – odrzekł stojąc już w drzwiach Dugué.

W kilka miesięcy później samochód Harry'ego wolno posuwał się zatłoczoną ulicą. Tytuły na pierwszej stronie leżącej obok na siedzeniu gazety kłuły oczy wielkimi literami, aż krzyczały o kryzysie rządowym. Harry czuł się nie najlepiej. Obok, w innych wozach, widział spocone, nerwowe twarze kierowców. Gdzieś w dali wyla syrena ambulansu lekarskiego.

Na skrzyżowaniu trafił na uliczny korek. Samochody stały długimi kolumnami, dźwięk klaksonów przerywał co chwila niespokojny gwar uliczny śródmieścia. Wokół kobiety, leżącej nieruchomo na chodniku, zgromadził się spory tłum. Mężczyźni zachowywali się kłótliwie, kobiety były blade i zdenerwowane.

Zator samochodowy powiększał się. Do słupa ulicznej latarni podszedł jakiś mężczyzna i zaczęły wstrząsać nim torsje.

Stanton drgnął nagle, uderzony jakąś myślą. W ulicznym całym tłumie tylko jemu mogła ta myśl przyjść do głowy. Otworzył drzwiczki samochodu i wyskoczył na asfalt. Podbiegł do klombu, zerwał uwiedniętą dalej i ruszył szybkim krokiem w stronę uniwersytetu.

Kilka przecznic dalej złapał taksówkę. Zatrzymali się przed holem gmachu uczelni.

– Niech pan zaczeka – polecił kierowcy.

Wbiegł na górę, do laboratorium. Gorączkowo zaczął szukać odczynników, przewracając buteleczki i próbówki z jakimiś płynami. W końcu znalazł właściwy – trochę zawiesiny soli żelazowej i chinonu.

Badania trwały nieco ponad godzinę. W końcu podniósł się błąd z za stołu laboratoryjnego.

Taksówkarz, rozparty na siedzeniu, spał spokojnie.

– Jedziemy na Wood Hills – zakomenderował Stanton. – Tylko musimy pojechać objazdem...

W domu opadł bezsilnie na fotel. Więc jednak... To, co dręczyło go w najbardziej koszmarnych snach, stało się faktem. Gdzieś w zielonej gęstwinie, wzniecony nieprzemysłaną decyzją, zaczął się proces, którego nic już nie zdoła powstrzymać. Ziemia przestawała oddychać. Ziemia umierała.

Zadzwoił telefon. Podniósł słuchawkę.

– Pan Harry Stanton? Tu Lary Dugué. Mam dla pana miłą wiadomość. Ten wywiad ukaże się za dwa tygodnie...

– Za późno!...

– Nie rozumiem...

– Nie szkodzi. Zrozumiesz.

Powoli odłożył słuchawkę. Po kilku sekundach, pod wpływem nagłego impulsu, wykręcił numer. Znał go na pamięć.

– Gay? Chciałbym się z tobą zobaczyć – powiedział. – Musimy jechać na północ.

Słuchał chwilę.

– Halo! – zawołał prędko. – Halo, Gay! Musisz zrozumieć! Zostało nam naprawdę niewiele czasu...

* * *

Nieważne, czy ten zapis jest zapisem bio-prądów krążących w mózgu Harrego Stanton, miss Gay Courtney, profesora Lammersona czy może Curtisa. Jedno jest pewne: jedna z tych osób żyła najdłużej. Dlatego dzięki retroskopowi, osłabione – ale przecież nie uszkodzone – sygnały są tak czytelne. Teraz – jak sądzę – wszystko stało się zrozumiałe. Wyjaśniliśmy nareszcie pochodzenie śladów nieznannej cywilizacji na naszej planecie. Z jedną poprawką. Nie była to obca cywilizacja. To byli nasi poprzednicy na Ziemi. – Korten wyłączył aparaturę.

XXIII Kongres archeologów, dotyczący przedhistorycznych dziejów Ziemi, kontynuował obrady.